

# Gołębiowski, Stefan

---

Brzoza, "Życie Literackie", nr 44 (188), 3  
XI 1974 : [przedruk]

---

Bieżuńskie Zeszyty Historyczne 25, 22-26

---

2011

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych [mazowsze.hist.pl](http://mazowsze.hist.pl).

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Nie ona jedna. Więc jeśli usłyszysz o szkole dalekiej, że blask z siebie wydobywa, że boryka się z niedogłosem, że ożywia i rehabilituje na pół martwą prowincję, to pomyśl, że jest tam pewnie jakaś wielkość Mała.

Nic to, że inni ją jako Małą plecami zasłonią. W swoich uczniach żyje i dalej żyć będzie. A w razie „przeniesienia się stąd na miejsce inne” w zadatkach na coraz lepszą przyszłość.

## BRZOZA

„Życie Literackie”, nr 44 (188). 3 XI 1974

Drzewa, ileż ja wam winienem! Mógłbym tak zacząć, jak poezji drzew pierwszy Adam, gdyby jeszcze istniały mazowieckie przepastne puszcze, zielonym morzem szumiące nad głową.

Tymczasem nasze puszcze, Kampinoska czy Kurpiowska, pod żadnym względem do dawnych litewskich są niepodobne. Bory należą do rzadkości, lasy ubożeją, gaje nie tworzą par tanecznych. Grab zginął, brzoza owdowiała nad mogiłą kłęczą.

Mimo to drzewa są nadal ozdobą ziemi. Urozmaicają krajobraz. W bogatszym znajdują odpowiednią oprawę, w uboższym same z siebie wydobywają piękno, wbrew zbiorowemu, własne, na wskroś indywidualne. Na tle pól i łąk są bardziej malownicze.

Zwłaszcza na Mazowszu. W krainie otwartej i jakże monotonnej, gdyby nie akcenty drzew i ich zielone smyczki grające w słońcu i klawisze pluszczące w deszczu. Od Chopina, naczelnego artysty, do Broniewskiego, Orfeja drzew mazowieckich. Od dębu płockiego zaczął, ruszył w drogę z wierzbami, wodził brzozy, olchy, klony, jarzębinę, żeby z umiłowanymi topolami odejść. Z wiernymi, nadwiślańskimi, które zielone światło otwierają w stronę morza.

Smukłych, jak świece zielone, bardziej pospolitymi krewnymi są topole więcej rozłożyste, bliżej zagród skupione. Czuwają nad strzechami i ściągają na siebie gniew trzaskawic niebieskich.

Najokazalsza, strażniczka zagrody i ogniska domowego, góruje gniazdem bocianim. Zapowiada klekotem wiosnę i bardziej ożywiony przyrost naturalny w skrzydłach rozpiętych nad gniazdem.

Jeżeli topole więcej trzymają się wsi i zagród, to wierzby raczej prowadzą żywot wędrowny. Biegną w stronę rzeki, suną za bydłem na wygon, skrzypią i za kołami spieszą od wioski do wioski. Dzięki nim nie tak łatwo w mroku zabłądzić, nawet podczas zamieci, kiedy miotłami podniesionymi zamiatają niebo ciężące ku ziemi.

Najeżone i szochrane wyglądają na wiedźmy kołtuniaste. W dudach świecą próchnem starości, a mimo to z wierzbowej fletni pozwalają wydobyć ulikanie pod pastusze lata zielone.

A kiedy z drogi zboczysz na moczary, torfowiska i bagna, to niezawodnie spotkasz olchy. Skaczą z kępy na kępę, na kępach się mnożą i wzajem wspomagają, by nie stracić gruntu pod korzeniami. Wiodą życie pionierskie na nieużytkach, mimo że często do nich siekiera zagląda. Czerwone pnie po toporach zostawia i każe dalej rosnać od nowa.

A kiedy w drugą stronę zboczysz i dotrzesz do białogórskich piasków, to za nimi spotkasz w suchotniczym stanie sosny i niedorostki chojniaków. Nie zlorzecz im, że pokręcone, że żyją na przekór sobie i nie ma dla nich żadnego ratunku. Jałowcami najeżone mazowieckie piaski bez nich byłyby jeszcze uboższe.

Do wiejskich, polnych i łącznych, dochodzą nadto drzewa dworskie. Dwory w większości wyginęły, lecz aleje dworskie w żółtych kandelabrach kasztanów, w kolumnach klonowych i w lipach cienisto sklepionych jeszcze trwają jako starodrzewna służba dworska.

Oprócz bardziej znanych warto również pamiętać o innych żyjących na własny rachunek. Szczególnie jarzębiny, które po lipach obumarłych już zaglądają do okien frontowych.

Strojne w czerwone korale tak pięknie żegnają jesień, gdyż wierzą bez wątpienia w powrót wiosny. Jak Demeter w powrót swojej ożałobionej córki z mrocznego państwa Plutona.

Czas przejść do brzozy, lecz mówić o brzozie w sposób niestereotypowy to rzecz wcale niełatwa. Za bardzo poetyczna jako biała panna i za bardzo sentymentalna jako płacząca wdowa.

Z gajów brzozowych wyszła i wiedzie żywot raczej bezdomny. Przynajmniej w moich stronach. Wygląda, jakby z bojaźni czy z przeorności bosonóż na bezdroża umkła.

Krajobraz mazowiecki za mało żyje lasami, więcej drzewami i ich pięknem osobliwym. Nie brak samotnych grusz na miedzach polnych, lecz najczęściej jedne biegną do drugich, jakby szukały bliskiego towarzystwa i bliskiego sąsiedztwa.

Powinno ich być więcej. Drzewa przecież należą nie tylko do żywych, lecz i do umarłych. Jeśli wśród żywych najczęściej rosną w rozproszaniu, to wśród umarłych zazwyczaj w skupieniu i zarazem w całym bogactwie odmian pomieszanych z sobą.

Przynajmniej bieżuński cmentarz pod tym względem był godny uwagi. Tworzył swoistego rodzaju oazę zieleni i z braku lepszego zielenca służył za cel spacerów niedzielnych i świątecznych. Od wiosny w koronkach liści po jesień dzwoniącą listopadem.

Przez te spacery wracam do dzieciństwa i do cmentarza dziecięcego. Dziecinnych w piaseczku mogilek było tyle, że gubiły się w moim nieporadnym liczeniu. Górowały dziecięce nad młodzieńczymi, a młodzieńcze nad starszymi. Jakby śmierć była bliższa dzieciństwu i młodości, a nie wiekowi bardziej zaawansowanemu.

Na cmentarz przeważnie szedłem z kwiatami mojej matki. Składałem je na grobach Czesiułka i Helenki, domu naszego Orszulki, której trumienkę na krzywicznych nóżkach tak w euforii obtańcowywałem, że aż na czterech drewnianych nóżkach podobno zaczęła podskakiwać.

Wiosną umajony spizowy krzyż Czesiułka pachniał bzami, a jesienią kamienny pomnik Helenki w pamięci mojej najbardziej się utrwalił bezradnie opadłymi dłońmi liści klonowych.

Babka spoczywała pod wiecznie zielonym świerkiem, a ostatni burmistrz pod dębem, jakby przez związek z domem, który dziadkowie po zmarłym kupili ze wszystkimi ruchomościami.

Niektóre drzewa wiekiem nadszarpięte poszły na ogień, ale dwóch lip w górze splecionych konarami nikt tknąć się nie ośmielił. Trwały do obumarcia na straży w pobliżu bezimiennej mogiły powstańców, na których trumny dotąd patrzę z otwartego okna mojej matki.

Tego okna nie ma, bo jeszcze matki wtedy nie było na świecie, ale mimo to widzę pogrzeb poległych jej niewidzącymi oczami. Przez trzy mosty od lochów dawnego zamku szedł naszą ulicą, kiedy nagle zerwał się gwałtowny huragan i od pałacu nadciągnęła złowroga chmura.

Lunął deszcz rzęsisty. Ludzie w popłochu rozbiegli się po domach. Trumny porzucili na ulicy. Woda je zawzięcie szorowała, a drzewa smagane wichrem kłoniły się aż do ziemi.

Przemoc rozpasanych żywiołów może trwała dziesięć minut, może kwadrans, nim huragan z czarną chmurą pognał w stronę cmentarza. Obłoki rozpierzchły się, czoło nieba przetarte zajaśniało błękitem.

Ludzie wrócili do trumien. Szesnaście źle zbitych, ledwie heblowanych podnieśli z ziemi i płaczące drzewnymi szparami ruszyły w stronę grzebalnego. Bez bicia dzwonów.

Powstańcy mówili, że w ten sposób niebo oplakiwało poległych za ojczyznę, a zaborca, który czuwał i nikomu za pogrzebem iść nie pozwolił, w srogości nieba widział znak gniewu carskiego. Miatieżnikom na pohybel.

Ten pogrzeb, mimo że go widzieć nie mogłem, przysłonił wszystkie inne. Krewnych i znajomych, bliskich i dalszych, za których sprawą z opowieści ojca bliżej poznałem historię dawnego cmentarza.

Był o połowę mniejszy i co dwadzieścia, najwyżej trzydzieści lat trzeba było groby ojców rozkopywać, by synów pogrzebać. Czaszki, piszczele i zebrane kości składano w kostnicy, która dla każdego stała otworem do czasu, kiedy chłopcy, mniejsi i więksi, nie zaczęli kości rozrzucać po grobach i czaszki wynosić z cmentarza. Wstawiali do wnętrza świeczki i na podobieństwo świetlików ludzi straszili po nocy.

Wówczas proboszcz kazał kości przenieść pod kościół i cmentarz, nie wiem, jakim sumptem poszerzył. Nowy obsadził drzewami i stary zielonością wzbogacił, by już groby nie musiały się tłoczyć i między sobą miały więcej wolnej przestrzeni.

Ojciec wiarę i nadzieję pokładał w drzewach i ze szczególną miłością mówił o cmentarnych:

— Widzisz mogilne drzewa są ciemniejsze od tych spoza grzebalnego. Korzeniami do mogił głęboko sięgają, z umarłych czerpią soki, przemieniają w krew zieloną. Drzewa i groby stanowią jedność świata żywego z umarłymi. Zwróć uwagę na wzgórek w prawo od wejściowej bramy. Nigdzie tak pięknego skupienia drzew na całym grzebalnym nie ma. Tak wygląda, jakby pod zielonym baldachimem drzew z dawnymi proboszczami miała ruszyć rezurekcyjna procesja.

Brzoza na znak zgody pochyliła czoło. Przecież ojciec ojca swego czasu pod baldachimem z monstrencją obok proboszcza łysiną świecił w procesjach, które z orkiestrą i wśród śpiewu wokół kościoła i po ulicach do ołtarzy kroczyły.

Pewnie za sprawą tej brzozy pod brzozą w małym domku bez drzwi i okien ojciec, jeszcze nie tak stary, znalazł swoje ostatnie mieszkanie doczesne ukryte w ziemi.

Ojca wczesna wiosna przyjęła, a po latach wielu późna jesień matkę. Brzoza przez nich co rok ojcem ożywała, a matką obumierała.

Taki był cmentarz ponad sześćdziesiąt lat. Rósł drzewami i mogi-  
łami. Drzewa roztaczały nad nim opiekę i żyły zwielokrotnionymi cie-  
niami. Własnymi i zmarłych.

Tak było do czasu przyjścia proboszcza z Bogatego, gdzie podob-  
no cmentarz po swojemu zbogacił. Niestety, u nas za to niesłychanie  
zubożył. Zaleski wbrew lasom.

Ostatnio cmentarz, w niemałym stopniu z winy parafian, znajdo-  
wał się w zaniedbaniu, panoszyły się zdziczałe krzewy i chwasty, któ-  
re należało tępić, lecz dlaczego z winy zaniedbania zostały potępione  
drzewa i prócz małego zaplecza skazane na zagładę?

Cmentarz został ogolony z drzew na rzecz obcokrajowych krze-  
wów, których ludzie nie szanują i które rosnąć u nas nie chcą. Wyrza-  
ły pomniki tandetne z cementu, w ornamentach bez smaku, a dawne  
kamienne bez drzew stały się martwymi.

Patrzę na obnażony i nie mogę zapamiętałych oczu wyzwolić z po-  
gromu nie do opisania. Cały cmentarz katowskich pni z trupami drzew,  
które już do cmentarza nie należą. Plebania z nimi robi porządek.

O innych nie mówię, lecz brzozą wciąż żyją. Nie od razu padła.  
Najpierw odrąbano jej ramiona i w sposób bezprzykładny zeszpeco-  
no. Ocalał jedynie wierzchołek podobny do brzozowej miotły.

W tej pożałowania godnej postaci przetrwała do wiosny, kiedy  
nadszedł dzień wykonania wyroku. Zamiast dorocznego zmartwych-  
wstania nieodwołalny kres.

Proboszcz przy skazanej trwał niewzruszony. Jedni na szyję rzucili  
powrozy i łańcuchy, a drudzy z dołu błysnęli toporami, bo sama piła  
rady dać nie mogła.

Obezwładniona brzoza zaczęła się chwiać. Łańcuchy i powrozy  
ciągnęły w jedną stronę, a brzoza z uporem w drugą. Na przekór pa-  
dła, wierna pomnikowi, i strzaskała krzyż.

To był finalny protest przeciw grobom pobielanym. W imieniu  
drzew.